

MUZYKA FILM SZTUKA

Presto

✂ wytnij sobie zakładkę

TEMAT NUMERU:

RZECZ

art. Anasztazia Pazura

#48 JESIEŃ 2025
25,00 zł (w tym 8% VAT)
ISSN 2084-3348
PrestoPortal.pl



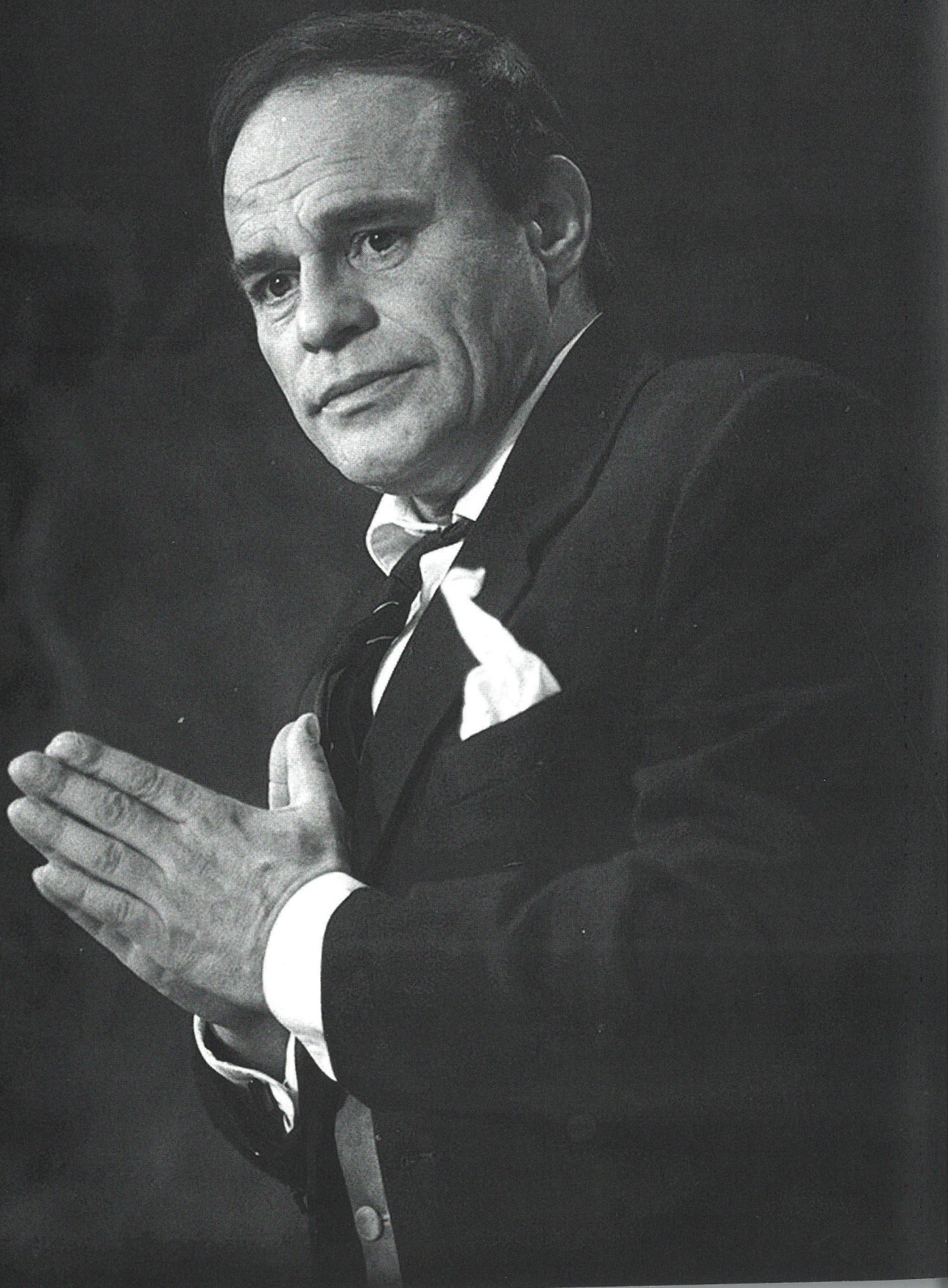
9 772084 334500

ODPOCZNIJ OD INTERNETU



SPOTKANIE Z ARTYSTĄ

Presto #48 | TEATR



Roman Wilhelmi. Aktor kompletny

dr Grzegorz Ćwiertniewicz | historyk filmu i teatru polskiego po 1945 roku, krytyk teatralny

Im więcej czasu mija od śmierci Romana Wilhelmi, tym więcej wokół niego legend, mitów, a nawet plotek. Pomimo blisko trzydziestopięcioletniej „nieobecności”, popularność medialna aktora nie słabnie. Wypada tylko ubolewać, że zainteresowanie wzbudza przede wszystkim jego życie prywatne, a jeśli już dotyka zawodu, to ogranicza się najczęściej do śmiesznych anegdot. Zdecydowanie zbyt mało miejsca poświęca się jego fascynującej działalności twórczej, zwłaszcza fenomenalnemu aktorstwu. Wilhelmi umarł, mając zaledwie pięćdziesiąt pięć lat. Jedną z jego ostatnich ról była rola Króla w spektaklu telewizyjnym „Król umiera, czyli ceremonie” w reżyserii Józefa Czerneckiego. W inscenizacji wystąpili również tak znakomici aktorzy, jak Barbara Brylska, Ryszarda Hanin, Magdalena Zawadzka, Henryk Machalica i Bogdan Baer. Premiera odbyła się na kilka miesięcy przed śmiercią. Przypadałoby więc, że to zbieżność dość osobliwa. Czy przypadkowa? Oto jest pytanie! Wilhelmi wiedział już, że choruje na raka wątroby i podświadomość podpowiadała, że życie wymyka mu się z rąk. Podświadomość, bo pełna świadomość nie nadeszła chyba nigdy. Miał poczucie nieprzemijalności. Człowiek o takim temperamencie nie mógł dopuścić myśli, że może umrzeć. O tym, że choruje, wiedział zresztą dużo wcześniej. Już na planie serialu „Alternatywy 4”, serialu, zapewniającego mu nieśmiertelność wśród widzów, którzy nie znali go z teatru czy ambitnych filmów. Wilhelmi mógł przypuszczać, że to właśnie „Królem” pożegna się z wielbicielami jego talentu, choć żegnać się nie chciał. Nigdy nie pogodził się, że odwołuje się go z tego świata w apogeum artystycznego życia, u szczytu rozwoju aktorskiego, ale i świadomości oraz możliwości. Nie był gotowy na śmierć. Był przekonany, że przeżyje. Z drugiej strony, lekceważył chorobę i nie przyjmował do wiadomości, że jest śmiertelnie chory.

Od pierwszej sceny wspomnianego przedstawienia zegar zaczyna nieubłaganie odmierzać czas, minutę za minutą, sekundę za sekundą. Odmierza tym samym upływające życie króla Bérengera. Zaczyna rozpadać się jego świat, znikają granice, zapadają się miasta, wysycha ziemia i wałęsają się ściany pałacu. Analogia jest oczywista. Diagnoza dla Wilhelmi to wyrok – koniec świata, początek gaśnięcia rozbuchanego ognia. Król umiera. Wilhelmi był królem. Nie tym z przywołanej sztuki Eugene Ionesco. Był królem życia. Bożyszczem kobiet. Wolnym. Frywolnym. Unoszącym się nad ziemią. Potężnym artystą. Bezkompromisowym. Świadomym swojego kunsztu. Potrafiącym otumanić i zdyskredytować. Wrażliwym, ale i nieczułym. Perfekcjonistą. Awanturnikiem. Panem z pieniędzmi. A nawet egoistą. Lubił się napić, choć, według życiowych współtowarzyszy, trudno posądzać go o alkoholizm. Lubił dobrze zjeść. Nie stronił od dobrej zabawy. Był w końcu, co najważniejsze, wybitnym aktorem o spojrzeniu tyleż diabolicznym co anielskim. Często w jego oczach można było zobaczyć więcej niż w wypowiedzianych słowach. Miał w sobie coś z Chaplina. Na pewno jego smutek, przejawiający się w nieprzeknionych oczach. Jego twarz zdradzała czasem uczucie bezradności, jakiegoś zagubienia. Krzyczała o pomoc. Wyjawiała prawdę o pozornej sile i wątpliwej samowystarczalności. Ta bojowość była fasadą. Ułatwiała dążenie do niemożliwego, pokonywanie przeciwności i trzymanie samego siebie w ryzach. Pozwalała stawiać się niepodległym bytem. Dzięki determinacji (talent to nierzadko za mało) mógł udowodnić, ile jest wart. Poprzeczkę za każdym razem ustawiał bardzo wysoko. Dążył Wilhelmi do autonomii, zarówno prywatnej, jak i zawodowej. Stworzył siebie jako człowieka silnego, groźnego, nieugiętego po to, by ceniono go za niezłomność, ale i odczuwano przed nim respekt. Chciał sam o sobie stanowić.





**Często w jego
oczach można
było zobaczyć
więcej niż
w wypowiedzianych
słowach. Miał
w sobie coś
z Chaplina.
Na pewno jego
smutek, przeja-
wiający się w nie-
przeniknionych
oczach. Jego
twarz zdradzała
czasem uczucie
bezradności,
jakiegoś
zagubienia.
Krzyczała
o pomoc. Wyja-
wiała prawdę
o pozornej sile
i wątpliwej samo-
wystarczalności.**



Choć spektakl Czerneckiego miał uświadomić odbiorcom, że śmierć jest czymś realnym, nieuchronnym, realnym, nie omijającym ani króla, ani nędzarza, to prywatnie odtwórca tytułowej roli nie patrzył na swoją osobistą sytuację przez pryzmat przestania przedstawienia. A może udział w przedstawieniu był próbą przechytzenia śmierci? Może wystąpił w niej na przekór? „On umrze. Ja nie”. To by się zgadzało. Nie może umrzeć ktoś, kto tworzy nieśmiertelność. W przyszłym roku Wilhelmi skończyłby pięćdziesiąt lat. Należy sobie uświadomić, że jego kariera nie była zbyt długa. Nieco ponad trzydziestoletnia. To wystarczyło, by zaistnieć, zgromadzić w dorobku role, które nie tylko zapewniły mu wieczną trwałość, ale i postrzeganie go w kategorii wybitności.

Wilhelmi był zaprogramowany na sukces. W domu płaczliwy i depresyjny, na scenie wstępował w niego duch walki, każący mu w pełni eksponować ogromny kunszt. Scena łechtła jego ego. Czuł się wielki, bo był wielki. Na tę wielkość założył sobie ciężką pracę, eliminując niedoskonałości, z których zdawał sobie sprawę.

Jego aktorstwo wyróżniało się ogromną charyzmą, wszechstronnością, a także umiejętnością głębokiego wnikania w psychikę postaci. Miał wyjątkową zdolność skupiania na swojej grze (na sobie) uwagi widza. Nawet w rolach drugoplanowych potrafił zdominować scenę teatralną (lub filmową). Za każdym razem dbał o psychologiczną głębię. Tworzył swoich bohaterów, dokonując głębokiej analizy psychologicznej. Dzięki temu nawet postaci oparte na satyrze czy grotesce miały ludzki wymiar, były autentyczne. Bohaterowie przez niego kreowani byli często bardzo złożeni, pełni wewnętrznych sprzeczności. Zresztą on sam był dwubiegunowy. Kochał i nienawidził. Śmiał się i rozpłakał. Triumfował i zapadał się w sobie. Brylował i walczył z tremą. Histeryzował i zachowywał zimną krew. Lubił grać postaci negatywne, właśnie ze względu na ich psychologiczną złożoność. Był jednak aktorem uniwersalnym. Grał zarówno role dramatyczne, jak i komediowe. Wielbił teatr, ale zaznaczał wyraziście swoją obecność również w filmie i telewizji. Jego znakiem rozpoznawczym był charakterystyczny głos – niezwykle mocny i melodyjny. Potrafił go modułować, obniżać, szarpać czy wysuszać. Nie bez znaczenia pozostawała nienaganna dykcja. Nie bał się ciszy. W jego grze ogromne znaczenie miały pauzy. Były pełne napięcia, emocji, oczekiwania. Wilhelmi wiedział, że niekiedy milczenie jest bardziej wymowne i wnosi znacznie więcej niż słowa.

Aktorstwo Wilhelmi cechowała ekspresyjność emocjonalna. Umiął szafować emocjami. Potrafił je z siebie wydobywać. Korzystał zawsze z całego wachlarza – od wybuchów furii, przez rozczerowanie i rozpacz, po ironię czy melancholię. Nie unikał emocjonalnej intensywności, ale też nigdy nie popadał w przesadę. Na szczególne uznanie zasługuje precyzja jego warsztatu. Każdy gest, intonacja czy spojrzenie były starannie przemyślane. Nie było miejsca na przypadki. Kontrolował ciało i głos. Wszystko było celowe i spójne z kreowaną postacią. Potrafił zupełnie zniknąć za rolę. Nikodem Dyźma, Stanisław Anioł, Olgierd Jarosz, Piotr Strumieński, Rafał Skonecki czy Robert Fornalski to zupełnie inne osobowości, a każdą z nich uczynił niezwykle wiarygodną. Zmieniał mimikę, sposób mówienia, gestykulację, poruszania się tak, jakby stawał się kimś innym. Jego bohaterowie byli intensywni i wyraziści, przez co zapadali w pamięć na długo. Widz nigdy nie wiedział, czego się po jego postaci spodziewać. Był nieprzewidywalny, ale logiczny – reakcje jego bohaterów mogły być gwałtowne, ale zawsze wypływały z charakteru i sytuacji. Choć grał wiele postaci dramatycznych, miał wyjątkowe wyczucie czarnego humoru i ironii. Często wykorzystywał ten dystans, by wzbogacić postać o dodatkową warstwę (niektórzy jego bohaterowie byli śmieszni i groźni zarazem). Należał do grona aktorów, których cechował magnetyzm. Przykuwał uwagę, nawet gdy milczał. Unikał rutyny. Nie dał się zaszklakować – grał zarówno bohaterów pozytywnych, jak i moralnie wątpliwych, komediowych, tragicznych czy tragikomicznych. Nie każdy aktor teatralny sprawdza się w filmie. Wilhelmi się sprawdził. Umiął grać „do obiektywu”, z niezwykłą naturalnością, co czyniło jego filmowe role równie silnymi, jak te teatralne. Nawet drobiazgi, choćby sposób trzymania papierosa czy spojrzenie spod oka, były częścią jego świadomego budowania roli. Wilhelmi był mistrzem tempa gry. Potrafił przyspieszyć, zwolnić, wprowadzić chaos lub perfekcyjną kontrolę. Dzięki temu sceny z jego udziałem miały dynamikę i napięcie dramaturgiczne.

Wilhelmi potrafił sprzedawać swoją charakterystyczność. Uciekał się przy tym do różnych sposobów, nie dbając o dobre opinie na swój temat. Choć może tylko fałszywie? Był pracoholikiem, który zachwycał utalentowanych i wzbudzał niechęć u amatorów. Sumienności oczekiwali również od zawodowych partnerów. Z trudem, ale zdarzało mu się docenić talent innych aktorek czy aktorów. Grażynie Barszczewskiej, na przykład, po premierze spektaklu „Dwoje na huśtawce” w reżyserii Kazimierza Kutza, zupełnie

**Każdy gest,
intonacja czy
spojrzenie
były
starannie
przemyślane.
Nie było
miejsca na
przypadki.
Kontrolował
ciało i głos.
Wszystko było
celowe
i spójne
z kreowaną
postacią.
Potrafił
zupełnie
zniknąć
za rolę.**



**Jego aktorstwo
wyróżniało się
ogromną
charyzmą,
wszechstron-
nością, a także
umiejętnością
głębokiego
wnikania
w psychikę
postaci. Miał
wyjątkową zdol-
ność skupiania
na swojej grze
(na sobie) uwagi
widza.**



szczerze wyznał, że nie spodziewał się, iż będzie w tym duecie taka dobra. Z uwielbieniem, wzruszeniem, zachwytem, ale i zazdrością zwrócił się do aktorki: „Grażyna! Ty, ty chuju!”. Tajemnicą nie jest, że przez wiele lat łączyła ich znajomość prywatna i zażyłość zawodowa.

Wilhelmi kochał kobiety, choć chyba nie tyle je same, co obcowanie z nimi. Gdyby było inaczej, byłby szczę-

śliwy już w pierwszym związku małżeńskim. Stał się legendą już za życia. Nie ma w tym stwierdzeniu nadużycia. Trudno było pogodzić się z tym aktorem, którzy zazdrościli mu i jego sukcesów, i osobowości. To chyba właśnie ta zawiść stawała się podstawą licznych plotek, które miały obniżyć jego wartość. Tak się na szczęście nigdy nie stało. Wilhelmi żyje w świadomości Polaków. Chciał trwać i trwa. A może on nigdy nie umarł? Inspirował i wciąż inspirował adeptów sztuki aktorskiej. Nie ma nic wspanialszego niż zachwyt młodego aktora nad dorobkiem tego, powiedzmy, bardziej doświadczonego. Nie ma nic złego w tym, że adepci sztuki aktorskiej czerpią od swoich mistrzów. Może nie dążą do tego, by stać się nimi, ale podpatrują ich i często wykorzystują sprawdzone rozwiązania. Wśród zafascynowanych są i tacy, którzy pragną podzielić się wiedzą o swoim idolu z innymi, próbując ukazać właśnie ten fenomen – sprawcę owego zachwytu. Tak stało się w przypadku Marcina Rychcika, aktora i muzyka, który śmiało użył tego stwierdzenia, że Roman Wilhelmi. Absolutnie nie jako fanatyk. Stara się kultywować pamięć o nim i jego aktorstwie, co czyni z niemałym powodzeniem. Poświęcił artyście swoją pracę magisterską, która w 2004 roku ukazała się jako książka „Roman Wilhelmi. I tak będę wielki”, a kilka lat później drugą pozycję – „Roman Wilhelmi. Biografia”. Podkreślić należy, że autor w żadnym razie nie czyni z Wilhelmiego człowieka bez skazy. Barwnie opowiada zarówno o jego mocnych, jak i słabych stronach. Swoje spostrzeżenia uzupełnia o sądy Wilhelmi, najbliższych członków jego rodziny, a także recenzentów i aktorów, z którymi artysta spotkał się w zdecydowanie za krótkim życiu zawodowym. Nie są to sądy jednoznaczne. Wypowiedzi te na pewno pozwoliły Rychcikowi naszkicować portret obiektywny, choć każdy piszący książkę biograficzną wie, że nie uda mu się uciec od wszechobecnego subiektywizmu. Krytycznie obchodzi się autor z niektórymi rolami Wilhelmi. Pomimo że jest miłośnikiem jego talentu, cechuje go wnikliwość badacza. Dzięki temu czytelnik uzyskuje w miarę pełny obraz aktora. Nie przestaje go lubić, a wręcz rozkochuje się w nim jeszcze bardziej. Nie sposób nie wspomnieć, że przed rokiem ukazała się trzecia biografia – „Anioł i twardziel”. Tym razem autorstwa Magdy Jaros. Książek poświęconych temu fenomenalnemu aktorowi powinno powstawać znacznie więcej.

Roman Wilhelmi to jeden z tych aktorów, o którym pamięć nie zaginie. Nie da się pominąć jego dokonań, pisząc o historii teatru i filmu. Znadto był charakterystyczny. Za wybitnie grał. Za mocno chwycił za serca.

